

Wskazyliśmy w pocisku tego pułkownika, na którego stanowisko (2)
nadaliśmy paczkę z ubraniami i on zgodził się odebrać je
na dworcu. A my, kiedy pocisk zwalniał na zakręcie, wy-
skoczyliśmy przed stacją. Trochę się pobijaliśmy, ale niegroźnie.
A ten pułkownik opowiadał nam potem ze śmiechem, że
do stworzenia paczki z ubraniami nieobawiaj sobie między
wszystko ze znaczkami Hitlerjugend. Bardzo dziękuję mu pomogli!

Któregoś dnia siedzieliśmy w naszej kwaterze, ktoś otworzył okno,
bo dużo było od dymu z papierosów, i nagle przez okno wypadła
kapsuła, a w niej wiadomość, że ja i dwaj moi kolebrzy (to trojka
Kozuchów) musimy dziś jechać z obozu, bo górze nam
awanturanie. O wiele później dowiedzieliśmy się, że ostrożka
nas znowu nowego komendanta obozu, mianowanego na miejsce
zbyt pobratymczego poprzednika, który przez jakieś patrzył, że
nas obóz przetrzeje. Nowy komendant postanowił zlikwi-
dować komórkę „przerutów”. No i jego dzień znowu nas ostrożył.

Cyprnie ubranie mieliśmy, szybko byliśmy gotowi. Zaprosy-
jaliśmy Węgry (bo, przez grupki związanej z hitlerowcami, węgry
węgry byli dla nas jak bracia!) Kupili nam bilety i przy
wiadaniu do pocisku robili tłum wokół nas, że utę się też
jadę, w rzeczywistości posiadali do nas drugą stronę, a my
wzrostaliśmy się w wagonie i żeby nas utę nie zagadywał
widzieliśmy, że spiny. Ach, jenerze przed wyjazdem zdaliśmy
spowiadanie domowemu polskiemu, co jest do zrobienia, jakie
fotografie zawieźć do Budapesztu i kiedy odebrać kolejny
transport ubrań.

Do Budapesztu dojeżdżaliśmy bez przystanków, poszliśmy do punktu
przerutowego, dostaliśmy paszporty, dobrze się stoczyło, bo właśnie
zaczęli wysyłać arcylerystów, więc nie musieliśmy długo siedzieć
w Budapeszcie. Mianowano mnie dowódcą naszej ^{grupy} grupy, która
miała jechać do Barcu, na podziemiu od Budapesztu. Pecha-
liśmy tam jawnie, jako przesłani do kolejnego obozu. Na
dworcu w Budapeszcie legitymowała nas policja węgierska, ale
puszcili bez przeszkód. Ale trochę napięcie nerwowe było, zwłaszcza,
że ja moje dwa „małżony” miałem przyniesione bandażami do nóg.

Po przyjeździe do Barcu poszliśmy pod wskazany adres, do
kolejnego obozu. Było nas sporo w tej grupce, około sześćdzie-
sięciu osób. Dowódcą tego obozu (nie pamiętam nazwiska) był
bardzo dzielny, bo organizował się przemycaniem ludzi przez
rzekę do Jugosławii. Trasy kolejowe przez Wodny już były „spalone”.
Kucharkowateli nas i zaczęliśmy się przygotowywać do przerwania.
Sprawa nie była prosta, bo most na rzece koło Barcu był strze-
żony przez postawki z prami i reflektorami.

No i przyszedł ten ~~dzia~~ wieczór.

Powiedzieli nam, żeby się nie wyjadać, ale więcej ze sobą coś przynieść - jakis chleb, ciasto, cukierki. Mielismy isc przez miasteczko swobodnym kukiem, rozumianym. Bylismy troche podnieceni... Przy furcie jednego domu odwróconego tyłem do rzeki kinowca na naszka jakis jezuici. Partlismy za nim nad rzeka i skrylismy się w kraki. Pokazal nam swietlony most, budka straznicza, wstapilismy niedlugo pza. Nawz przewodnik opisal nam jak czsto strazie pcutruje most i okolice. I powiedzial: za pod podziemny podjedra tu tadia z bardzo dobrym uoiłaniem. Podziemie się wyprawy troje na dwie jak sadunek, na jeden będzie uoiławać. Popytanie w takim miejscu, gdzie takto widac z mostu, no a jesti go zobacz - to tylko pojedykierz odwracal sobie pytanie... tadia wlootce przybita, podziemny się, jeli nam przykasano, wiadawać siadnie, bardzo szybko przewiezł nas na drugi stonuz. Wytkaczylismy, powiedzieliśmy ciho „dziękuję” i on popytal sobie wadzi rzeki. Myśmy przy puści chłota, żeby uobac oddech, bo to i uenay, i cięlo było oddychac na dnie tej tadi.

Nagle z budki strazniczej wyszedł człowiek i pzet. Był to swiatło reflektora i zaczął sunic wzdłuż rzeki. Podpeliłismy jczera waziej w zawota ciuowtow. Padal demer, byliśmy ciemno ubrani. Zaczem swiatło reflektora dotarło do nas, straznik wszedł wlootce, ze wszystkim w porzedku i uoił do straznicy. Wtedy popadlismy szybko wyznaczonej wazniej trasa przez pastwisko, pole kukurydzy, przeskakiujac przelaki zio i gzeruzie po koszkie na rozranyu polu (nie uicelismy porzednych budow tylo „Konsulacie podbaciki”). W kaicu dotarliśmy do rowu biegnacego wzdłuż drogi i w ogromnym uagnicciu przewiezlismy obok swietlonej obozy. Musielismy isc bardzo szybko, żeby zobaczic na jcziej do Zagrzebia. Dotarliśmy wrescie bez zoldeyck przegid do domu (tylko adris skopas się po pas w ktorymś z rowow i teraz uawst w uobrym ubraniu). Podziemny teraz skacze po podtkadach jak awarizowaniu. Noc się konczyła. Wznieci zobaczyłismy swiatła stacji. Ustrazani w blicie staralismy się doprowadzic troche do porzedku przy pomocy wody z kaduzi i suchej trawy.

Najpizcie uerzowe opadło, zaczęlismy nawet lotrucowac. A potem, jeli nam przykasal wotauisbrz z obozu w Barozu wzdlicmy do takiej malej knafy przy torze. Tam zaraz podszedł do nas ueniotory człowiek i Tamana polozczyus powiedzial: „perno hoboty i biletu do Zagrzebia?” I przyjnosł nam hoboty i chleb z przyzrym serem. Dal też dinary na wymianę i oznajmil, że uawny go obseruowac. On popozrie picowry i bzdrie zagadywai zardawno. A my uawny się przewiezlismy bokiem do wagonu. Wszystko było zaplanowane co do sekundy. Zwalzylismy się w wagonie petynym robotnikow wracajacych ze sciuki dresow w górad. Boudni, uokny, uiezozni starznie. Porowozlismy do tego towarzysztwa! Zaduda był nieprawdopodobny, bo do tego wyszkiego polaci jakies starznie papiery. Był jstny nouch, kiedy dojezdzilismy do Zagrzebia, ludzie szli do uawsta, uiderzlo nas, że kobiety konzly, czy bawiki z ulekciem uioss uie w oslu lez na ebowie. Ze stacji wyszylismy z tłumem wysiadajacych i wyznaczonej trasa wyzylismy w stonuz konsulatu polskiego. Po drodze

(4)

Tamczasem podrozyczus, zaszepit nas mały pucykłut: „Paurowie oficerowie chęć wypścić buty?” Rozczulił nas i za parę dniarów uprzedował nas czarno nane ubłocane półbuty. Z Zagrzebia do Splitu jedliśmy się pacifierem, wspaniale krajobrazy no i Split - walekajacy! Te góry i more o tak przedziwnej barwie. Tam poruliśmy się samoblować do kamentanta bazy, który jeżdżący z różnymi stron polskimi żołnierzami wyprowadził do Francji, zakwaterowawszy nas i pozwolono wyjść do miasta. Split jest piękny, położony na stoku ostro spadającym do morza. Zatoką, głębokie małe fiordy wznoszące się w breg wieszły - chętny zielono-niebieskim kolorem wody. Rybacy wrócili z nocnego połowu i wielki na brzegu słowiane ryby. Po powrocie do bazy spotkaliśmy kolegę z liceum w Lublinie - Fudakowskiego, a ten przedstawił nam wyśmienitego krasakowca. Był to major dyplomowany Emil Sitkowski, mój późniejszy dowódca, przy którego śmierci byłem w Libii.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że narokost już przyjeżdż. Poruliśmy go obejrzeć na mole. Trudno było uwierzyć, że mamy tym „cynis” popływać. To nie był okost, lecz coś przyprawiającego statki spacerowe po Wiśle! Miał dumny narokost Attyka.

Odbiliśmy w piękny pogodzie podróżując małowimoro rozciągłymi nad brzegiem Split. Po paru godzinach była piękna burza. Attyka przeżyła się niepokojąc na jedno dno, no i mocno się walcowało. Widać zaczęli chwycić. Objedaliśmy od południa potrawę apeniński i skierowaliśmy się na północ do Marzylji. Widzieliśmy dalekie świątka lotarni morskiej u wybrzeży Afryki. Po paru godzinach nas jeszcze dwie burze, jedna silniejsza od drugiej. Ludnie brali potrawę. Dziś dzień, że ta nana Attyka nie przeleciała się. Ale była nie dość na jeszcze długo. Stryżaćem, że w końcu biedna ratowała pod koniec wojny.

To już była potawa grudnia 1939 r. kiedy wytarłowaliśmy się w port w Marzylji. Dużo ciż zawiątki wtopione wiozły nas karstymi górskimi drogami do obozu Camp des Carpiens, który był zbudowany w czasie pierwszej wojny światowej dla jeńców niemieckich. Kiedy wjeżdżaliśmy francuska warta obozu prezentowała broń, ale przejść było chłodnie. Czuliśmy się wczoraj intruzami. Paurowie sale, strachliwe zimno, sami musieliśmy zbierać popiółach opał do ściszonych piecyków. A potem urządzili nam ciekawą ogólną politykę. Kowidy z nas przedstawił szeregowe bałami - powinny kronologiczne czarki! Fotografii górcis duka nam. Z numerem nad głową, wyglądem jak kryminalista. O, takie niechby ciekawe zakończenie tej całej awantury z przedstawianiem się na zachód...

Por. Stanisław PLESZCZYŃSKI
(1907 – 1993)

uczestnik II Wojny Światowej,
po 1945 zam. w Kanadzie

Ksero tekstu przesłanego po śmierci Autora przez zamieszkałą w Kanadzie i USA jego rodzinę – rodzinie w kraju.

INFORMACJA WYJAŚNIAJĄCA POWODY TAKIEGO WŁAŚNIE A NIE INNEGO
„KSZTAŁTU LITERACKIEGO” PRZEKAZANEGO DO KRAJU MATERIAŁU:

Wbrew tytułowi tekst nie relacjonuje „ucieczki do Węgier” lecz jest nieraz aż nadto szczegółowym opisem praktycznego organizowania przeprawy grup polskich z obozu na Węgrzech (Nograd Verocse?) do Francji.

Materiał nie stanowi przemyślanej relacji Autora, nagrywanej na taśmę z myślą o późniejszym autorskim opracowaniu zapisu.

Jest opowieścią bardzo sędziwego już Autora zebranej wokół niego Rodzinie: żonie – włoszce i urodzonym w Kanadzie dzieciom, opowieścią dokonywaną w języku polskim.

W parę lat po Jego śmierci rodzina postanowiła spróbować przepisać – również po polsku – nagrany zapis. Przedstawiony tekst stanowi wynik tych usiłowań.

Dołączona do tekstu wspomnienia strona jest dokonany w Kanadzie tłumaczeniem napisanego po francusku i w tym języku wygłoszonego przemówienia wygłoszonego przez jednego z synów Zmarłego podczas uroczystości pogrzebowych.



Trzynastego czerwca 1907 roku, gdy maki kwitły czerwono na polach Lubelszczyzny, urodził się syn w młodej polskiej rodzinie; przyszedł na świat w kraju okupowanym gdzie miłość dla ojczystego języka, dla ziemi i dla wiary przodków płonęła w sercach i była nadzieją narodu.

Młody trzynastoletni goniec pędzi konno przez las. Chłopiec jest z rycerskiego rodu, wie że kraju trzeba bronić przed najazdem bolszewickim, czuje że o wolność trzeba walczyć.

Na jasno oświetlonej wielkiej sali balowej w Warszawie orkestra gra poloneza. Prowadzi taniec młody student akademii rolniczej i przed nim jak i przed krajem otwierają się lata rozwoju. Młody człowiek zachwyca się wszystkim: studiami, teatrem, chóralnym śpiewem, koniami; ale największa jego miłość jest zawsze ziemia.

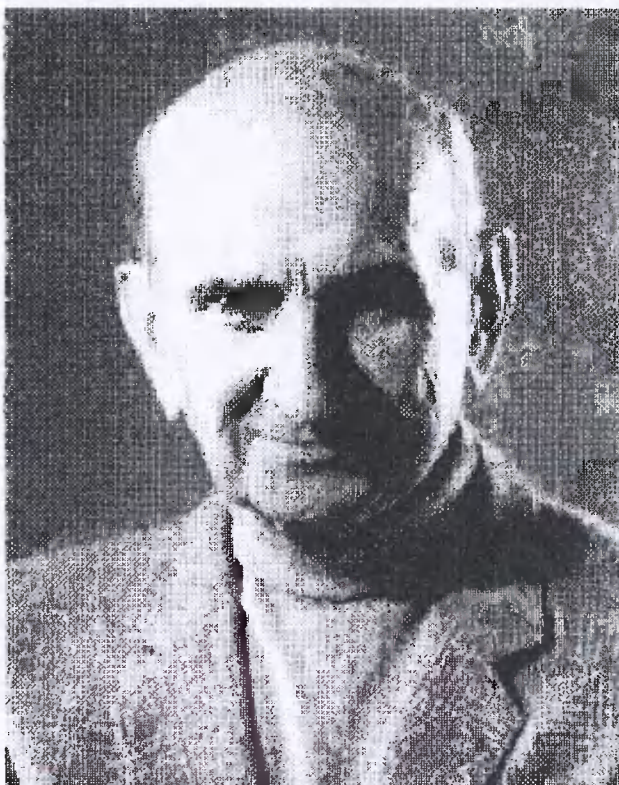
Młody rolnik chodzi sam po wielkim polu zborza; bierze w ręce grudkę urodzajnej gleby. On kocha tę ziemię; marzy że będzie na niej gospodarować...jak nagle zrywa się zimny wichur.

Wojenne wiatry zrywają go od rodziny i ojczyzny. Oficer rezerwy artylerii, podobnie jak jego pradziadowie, idzie walczyć o swój kraj.

Na pustyni egipskiej, dla ratowania ранego kolegi, pozostaje sam, spragniony. Znajduje porzuconą ciężarówkę niemiecką i kładąc się pod nią, ratuje się pijąc wodę z chłodnicy. Sześć lat przeżyć i tragedii.

Od pustyni Iraku, przez buże piaskowe pod Tobrukiem, do krwawej góry Monte Cassino, gdzie z polskiej krwi wyrosły czerwone maki, wojna doświadcza go przez wspólny wysiłek i cierpienie.

Przechodząc przez miasteczko włoskie nad Adriatykiem, młody oficer z polskiego Korpusu stojąc w bramie domu gościnnego, kiedy młoda panna z rodziny Astorri szybko przebiega przed nim. Stanie się ona wielką miłością jego życia.



Stanisław Antoni Rola-Pleszczyński
13 czerwiec 1907 - 18 styczen 1993

Wojna skończona, ale zwycięstwo jest gorzkie: jego Polska, porzucona przez aliantów, znów jest w niewoli. Rolnik z pod Lublina nie będzie mógł powrócić do dawnego życia.

Statek Holenderski ogłasza swój przyjazd do portu nieznanego w obcym kraju. Do Kanady, nowy imigrant przywozi młodą rodzinę aby zacząć nowe życie. Pierwsze lata

są niełatwe; rzeczywistość imigracji ma swe trudności i tęsknoty, ale swą wolą, odwagą i szczyptą humoru, przewycięża i nowe życie stważa.

Stary Hillman zastępuje używany rower; a potem silny ośmiocylindrowy Ford pozwala mu z rodziną odkryć kraj.

Widzi z przyjemnością jak rodzina rośnie, stale zapewniając jej dobrobyt. Swą wiedzę i energię poświęca krajowi który go przyjął, także pomagając innym Polakom którzy też cierpią z tęsknoty; otaczany jest respektem i przyjaźnią.

Mijają lata. Na kawałku ziemi, nad rzeką St-François, patrzy z upodobaniem na galop swoich koni i trzyma w dłoni glebę z ogrodu myśląc "moja ziemia".

Z głęboką radością widzi jak własne dzieci a później i wnuki rozwijają się i wchodzą w życie.

Do ostatnich swych dni dzieli z ukochaną żoną, swoją wielką miłością i najlepszą przyjaciółką wszystkie przyjemności i tajemnice życia.

Składamy hołd pamięci Stanisława Rola-Pleszczyńskiego, wiernego syna Polski, walecznego oficera Brygady Karpackiej, kochanego męża, najdroższego ojca, uwielbianego dziadka, przyjaciela najpewniejszego.

Wspominamy go za to, że jego inteligencja, życiowa mądrość i spontaniczna ludzkość wspierały się i służyły przedewszystkim dobroci.

Nigdy go nie zapomnimy, wspominając jego uczynność i współczucie, jego głęboką kulturę, i odwagę aby zawsze kierować się sercem.

Dziękujemy mu wszyscy za jego wielką miłość i za moc jego ducha który nigdy nie przestanie nas inspirować.

*Ode Nas,
Jego dzieci*

Wspomnienia Śtasia nagrane na taśmie.

Ucieczka do Węgier.....[1939]

Chcę sobie dać sprawę, dokładnie, z daty tego co chcę opowiadać. Otóz, 31 września..prześliśmy w górach, przez granicę do Węgier. Potem, podróż nasza do Budapesztu trwała, razem, chyba 2 dni.

Wcześniej przyjechaliśmy do tej miejscowości, która jest 50 km. przed Budapesztem, na północ, która nazywa się NogradVéröce.

Tam byłem aż do początku Grudnia.. Otóz. W drugiej części mojego pobytu w NogradVeroce...[opowiem innym razem przejście z nad granicy ,z Polski, przez granicę Węgierską i potem całe te nasze spotkania..i to wszystko..]

Ale dziś chcę powiedzieć, specjalnje, o jednej części tego przeżycia.

Otóz, dlaczegośmy z NogradVéröce wyjechali ?

Dlaczegośmy wyjechaliśmy, dwóch kolegów i ja, zupełnie nagle i, prawie, z popłoch? Bo myśmy byli mianowani, przez dowódstwo tego obozu w któryśmy byli w NogradVéröce ,oficerami łącznikoemi do ewakuacji. Co to znaczyło?

We Francji już zaczęła się organizować Armia Polska, pod dowódstwem Generała Władysława Sikorskiego. Wszyscy ludzie, którzy jakimkolwiek sposobem musieli z Polski wyjść, zostali wzywani, żeby wstępować do Armii Polskiej na Zachodzie. To nie była łatwa rzecz, bo Węgrzy bali się Niemców. Naturalnie, niemiecka Ambazada bardzo ostro zagrozała wszystkim władzom Węgierskim żeby nie ułatwiali, bron Boze, Polakom ucieczki z obozu. Chodziło im oto, że wiedzieli że się gromadzi nowa Armia Polska. Więc, wobec tego trzeba było robić to w tajemnicy. Ale co robić?

Otóz. Z Paryza, z naszego nowego Ministerstwa Spraw Wojskowych, przyszła lista tych rodzajów wojska, które powinny być ewakuowane do Francji, jak najszybciej. Na pierwszym miejscu byli lotnicy, marynaze, potem wojska pancerne, potem zaperzy [inżynierja wojskowa], potem artyleria, itd. Otóz.W kazdym z obozów, także w naszym, był porobiony szczegółowy spis wszystkich którzy byli w tym obozie: oficerów, pod-oficerów i szeregowych. I przy kazdym było napisane jaka była jego specjalizacja. Teraz, kiedy się wysyłał pewną grupę, trzeba było pomóc im ucieć z obozu NogradVeroce, w ubraniu cywilnym, z paszportem polskim, z fotografią itd. Otóz, nikt nie miał, naturalnie, dobrych paszportowych fotografii. Nie mogliśmy chodzić do tych paru fotografów Węgierskich, bo by to hitlerowskim śpiegom, którzy byli wszędzie na Węgrzech, zwróciło uwagę że tam ciągle chodzą ci oficerowie i żołnierze, i robią fotografię. Wiedzieliby odrazu o co chodzi...

Więc myśmy musieli robić tak: Zaprzysięgło się tam jednego fotografa z pochodzenia słowackiego który w zupełnie pełnej nocy robił takich kilka fotografii. W ciągu jednego wieczora zrobił takich kilka

fotografii. te fotografie się dostawały, przy pierwszej podróży naszej do Budapesztu, do naszego małego województwa, które było przy naszym poselstwie, na Węgry Te fotografie dostawały pieczętkę tamtą na podstawie uwizytelnienia,,które przychodziło z obozu.

Myśmy wiedzieli że to jest ten i ten,ten i ten, wtedy urodzony, itd...I to było przyklejane do paszportu, który był wystawiony na..jego imien. A wiza była robiona później dlatego że niewiadomo było jaką drogą ten czy drugi pójdzie; czy pójdzie z Budapesztu, drogą kołową do północWłoch, gdzie na początku szli, i stamtąd oni uciekali do Francji,,czy też pójdzie drogą morską? Ale, w każdym razie, żeby on dostał w rękę paszport z fotografią uwizytelnioną, to myśmy musieli podróżować do Budapesztu

Czasami jechał jeden z nas, czasami dwóch. Zależało czy jednocześnie możemy już dostać dla nich ubrania cywilne. Tam się nasz Konsulat zajmował, tą placówką wojskową przy Konsulacie, kupowaniem ubran cywilnych, które się składały, normalnie, z garnitury szaro-brązowo-zielonkawej,najmniej rzucającej się w oczy. Szukano czapki i kapelusze jak najczęściej używane było na Węgrzech przez ludzi średniej klasy. Buty robiono na miarę, oczywiście, ale kupowano też bieliznę,koszulę, skarpetki, nawet krawat, i, oprócz tego, płaszcze, ponieważ to była zima.Płaszcze, jesiąkę jakiego niezby dobrego materiału,taka mieszanka jakaś.

Więc tego oni narobili w różnych numerach, w wielkiej ilości. Też w takich tajemniczych miejscach różnych w Budapeszcie, zupełnie zakonspirowanych.

Kiedy myśmy przyjeżdżali do Budapesztu, to przywoziliśmy to co im brakowało, otóż: nazwiska, fotografie,w przybliżeniu wymiary na wszystko. Oni nam dawali to co było gotowe, żeby przywieść do obozu. To znaczy, właśnie, paszporty, już z przyklejonymi fotografiami, i ubrania, które potem można było jeszcze ewentualnie,zamieniać, jeśli były robione jakieś pomyłki. Wszystko to się odbywało pod pretekstem że my jedziemy zwiedzać sobie Budapeszt, bo były pozwolone takie przepustki do Budapesztu.

To się szło do dowództwa Węgierskiego tego naszego obozu, bo nasz obuz nie był pod komendą Polską, tylko Węgierską, ale, oczywiście myśmy mieli swojego dowódcę, który ,w naszym imieniu,się porozumiewał z dowódcem węgierskim, itd...Węgierskie dowództwo różne rozkazy tamtejsze dawał żołnierzom i oficerom przez nasze dowództwo.

I teraz taka była rzecz, że myśmy szli do dowództwa węgierskiego i prosili czy mogliśmy pojechać do Budapesztu, odwiedzić miasto i okolice, i naogół nie było żadnych trudności. Dostawaliśmy taką przepustkę, po węgiersku kartkę z nazwiskiem i imieniem...I na podstawie tegośmy mogli wyjechać pociągiem...jedna jedyna droga ,to pociąg.

W pociągu nieraz były rewizje, bo wiedzieli że tam są właśnie ci wojskowi polscy, więc przechodził nieraz z konduktorem, taki zandarm, bo bez przepustki nie było mowy jechać. W ten sposób załatwiali w przeciagu...[dokładnie nie mogę sobie zdać sprawę ile to trwało, bo ja, na początku, nie byłem mianowany, dopiero, jak jeden i drugi, z poprzedników

naszych, zachorowali i nie mogli tych funkcji spełniać, to z kolegą zaczęliśmy tę awanturę.)

Była ciężka jesień, ciężka zima, Otóz, jeden z poprzedników, jedyny nie chory, Zdzisław Dębowski mojego kolegę młodszego z rolnictwa w Warszawie, Janka Kijowskiego i mnie dobrze znał, bo myśmy razem z nim przešli przez granicy z Węgier. Więc On nam zaproponował czy myśmy się zgodzili zastąpić tych dwóch chorych... Myśmy się ucieszyli bardzo, bo nudne jest życie w obozie takim, pozatym chcieliśmy coś dobrego robić. Często śniły nam się jakieś awantury. Więc On poszedł zaraz do dowództwa polskiego i powiedział że On daje wniosek na tych dwóch. Więc nas dowódca zawołał, jak już nikogo nie było w biurze, i powiedział że my jesteśmy mianowani do tej grupy trzech łączników poprzedników do Budapesztu. Powiedział nam różne rzeczy jak uważać, i, wraze czego, żeby nie kompromitować nikogo, a, raczej, zwalić na siebie, że człowiek zapomniał tam jakieś coś, jakiś kapelusz...

Tak to się zaczęło, ale to nastąpiło, ile ja sobie przypominam, gdzieś na koncu października, albo, nawet, w początku listopada, że Ja zacząłem pracować jako ten łącznikownik. I to trwało do, mniej więcej, początku grudnia.. Na początku nie miałem żadnych trudności jechać do Budapesztu. Raz była zabawna historia, która mogła się być bardzo źle skończyć. Mianowicie: bardzo nas przeprasząc za ewentualny kłopot, ten jegomość oficer, który się zajmował w Budapeszcie wysyłaniem mundurów i tych ubran, płaszcze, buty i bielizny, „przygotował podwójny transport i chciał, koniecznie, żeby to poszedł natychmiast, dlatego że wiedział że trochę ludzi tam czeka na ubrania, bo już dostali paszporty. Więc powiedział: "No, możecie mieć trochę z tym kłopotu, ale zawsze...zawsze, w razie czego mówcie że to nie wasze, i koniec!"

Więc nam pomogli, naturalnie, ludzie z Budapesztu, którzy umieli już trochę po Węgiersku. Z nami poszli z tym na stację, do oddziału bagazowego, i nadaliśmy to do NogradVeroce, pod umówionym nazwiskiem. Było zawsze umówione nazwisko takiego jednego węgria słowaka, do którego te rzeczy przychodziły, bo nie mogliśmy "Obóz Polski" napisać. On był komersant i, przez to nikt nic się nie pytał. I myśmy, z tym transportem i z nową kupą fotografii, paszportów itd., wracali wieczorem do tego NogradVeroce.

Przed samym przyjazdem do tego NogradVeroce, na jakiejś stacyjce małej, wskoczył jeden z naszych który się tam dostał, jak na gapę... I znalazł nas, idąc wzdłuż wagonu, i powiedział "Słuchajcie. Tam na stacji w NogradVeroce, jest zandarmeria, więc, jakby Was zobaczyli, że się inretesujecie zanadto temi paczkami [te paki były wielkie, niezdarnie robione] to byście mogli być poprostu złapani. [to potem powiem co groziło być złapani, bo, przeciesz nie byli Niemcy Hitlerowscy, czy Rosianie Stalinowscy, ale były następstwa nieprzyjemne; mianowicie, mogli zamknąć u Świętej Teresy w Budapeszcie, które były typowe, ciężkie więzienie.]

Tak się zdarzyło, otóż, On powiedział " Ja teraz pójdę do ubikacji, a potem wyskoczę. Wyskoczę przed stacją, bo ja nie mam biletu, a wy musicie tu znaleźć, i wymienił nazwisko tego słowiaka, który był właścicielem wielkiego sklepu, którego w piwnicach były składane te ubrania, obuwia itd....gdzie się odbywały te wszystkie konspiracje i inne rzeczy.

Myśmy go znaleźli, rzeczywiście. Powiedzieliśmy mu o co chodzi. On się, naturalnie zgodził i potem zaczął się uśmiechać i powiedział. " No, b dzie dziwnie...takie wielkie pakunki...ale czasem dostaję też duże paczki...więc nie zwrócą uwagi. Tylko ja teraz już muszę wyskoczyć, bo nie chcę żeby Zandarmi widzieli jak Ja wysiadam., jak Ja wysiadam..nie. Ja sobie odrazu pójdę gdzie się zatrzymuje wagon który jest z bagażem." I wtedy myśmy postanowili że też będziemy skakać, tylko jeszcze wcześniej niż transport, i przejdziemy tor, i, lewą stroną, pójdziemy do osiedla. także Pan będzie sam. On mówi " Dobrze, ja mam czas. Ja wyskoczę dopiero wtedy jak pociąg prawie stoj."

Więc, takzemy zrobili. Umówiliśmy się wszyscy że skoczemy na zakręcie, kiedy pociąg zwalnia. Chodziło o to tylko żeby nie zwrócić uwagi komuś kto może patrzeć przez okno , że, z jednego wagonu skaczą, jeden za drugim, trzech, bo to by mogło zbudzić jakieś uwagi. Więc śmysię roześli po różnych wagonach, i takżeśmy skakali nie w jednym miejscu, ale, mniej więcej, w tym samym czasie. Cała trudność polegała na tym że wagony nie były bardzo oświetlone, więc śmysię nie bali. Tamta strona była całkiem czarna, na tym zakręcie. Dzień był pochmurny, deszczysty, chodziło o to żeby się nie poślinać. No. Tego trudno było uniknąć. Ale najgożejśmy się bali, żeby, skacząc, nie wlecić na druty samachorowe, które są przeciągnięte nisko ponad ziemią i dochodzą do dużych wież na których są samochory, różno kolorowe.

Więc tak się też stało jakżeśmy planowali: roześliśmy się po różnych wagonach, stanęliśmy w tych wejściach do wagonów gdzie zwykle jest wejście do ubikacji, i potem na prawą i lewą stronę się wychodzi na obie strony wagonu, wyjście ze schodami.

Więc myśmy stanęli na ostatnim schodzie wagonu, najniższym i wyskoczyliśmy, jeden po drugim. No! nikt nic nie złamał, mianowicie śmysię potłukli dlatego że w obawie żeby nie wlecić na te druty tośmy zrobili taki skok, trochę daleki. Ale się udało wszystko.

Nazwiska tego komercanta już nie pamiętam.skoda. Otóż, On tak robił, że On,jak się dowiedział [On nas w wagonie, Akurat, przeszedł, się przesoacerować i znalazł takich pięciu, którzy byli bardzo czynnymi członkami węgierskiego Hitlerjugend., bo Oni mieli takie znaczki jakieś., i On ich poprosił, tak, przypadkowo : "Słuchajcie! Młodzi jesteście, możecie mnie pomóc, bo mam dzisiaj transport duży do NovogradVeroce." " Ale naturalnie. Bacia!" [bo oni tam każdego starszego to nazywają Bacia]; i zanieśli mu!! I On, jak ten Jano tam przyszedł, to sam się toczył po łószku, i Jano z nim razem, mówi : " Zauważcie sobie! To do Armii Polskiej, która ma walczyć przeciwko Hitlera, wasze pszesyłki na moją prozbę, przeniosło pięciu wielkich zapalenców Hitlerowskich,"

Do tego jak się to dostało bardzo późno do świadomości obozu, dla tego że myśmy się bali, bo niebezpieczne...Takie rzeczy bardzo...bo jest takie napięcie.....???

No, więc, to było tak. I tak było dalej spokojnie bez żadnej sensacji, aż, wreszcie któregoś dnia, kiedyśmy, przy otwartym, chwilowo, okien, (dlatego że była wyjątkowa odwilż, i dużo papierosów się tam paliło. było duszno w naszej kwaterze) otworzyliśmy okno. I w pewnej chwili, ba podłódze spadła duża koperta - ktoś ją rzucił przez okno. Więc któryś z moich kolegów ją podniósł, i, w kopercie była mała koperta i kartka. Na tej kartce było napisane : " Dziś, Janio i Taś [to Zdzisław, Janio i Ja, tych dwóch moich kolegów, którzy ze mną robili tę robotę łącznikową] mają dzisiaj jeszcze uciekać z obozu, bo jutro będą aresztowani." Więc, myśmy, w pierwszej chwili się nie zorientowali o co chodzi, ale ponieważ śmy mieli głębokie, zupełne zaufanie do doktorostwa, tych Fredów [śmy ich tak nazywali, bo On miał Fryderyk na imię a Ona była Teresa, bardzo zapalona katoliczka, wychowana w 'Sacre Coeur' w Budapeszcie, ale wszyscy Teci ją nazywali.)

Otóż, Ona kiedyś do mnie , z mężem, napisali kartkę, jak już byliśmy za granicę. Imśmy powiedzieli że taka kartka była. A Ona powiedziała ; " Ja wiem co to jest" [to było napisane po francusku], to jest moja przyjaciółka, która jest żoną nowomianowanego komendanta obozu który jest dopiero, od dwóch dni tutaj. I On postanowił, na pierwszej odprawie, po rozmowie z dowódcami polskimi, i powiedział, że : " Ja to wezmę wszystko tak... Już mnie nikt nie będzie przez palce uciekał. A my wiemy że Wy macie tutaj jakąś komurkę, która załatwia te różne rzeczy." Jednym słowem była chwila..Potem to wszystko trochę zelzało..Pewno On pił dużo, albo go tam jakoś.. On był bardzo służbisty wojskowy, więc jak mu , z góry, powiedzieli że ma tak być, bo tamtego poprzednika wyrzucili, bo za dużo ludzi wyciekało. Tak, coraz [Tatuś tu się śmieje!] te baraki się robiły bardziej puste. Więc, wobec tego myśmy od razu z nimi mieli naradę. Dzielna to zona! Ona powiedziała nam wszystkim że nas zna. że nas zawoadoimi ta Teci. Powiedziała "Ja nie mogę tego robić, Tylko Ty rzuć to przez okno." "HaHa. Ona weszła i powiedziała "Alez dym u was tutaj. Otwóście okno!" Więc myśmy powiedzieli:"Zima, przecież." "Otwóście okno!" W tych sytuacjach odcień głosu to coś może znaczyć ważnego. To mogło być to, że nam przyniosła butelkę dobrego wina, przez okno, albo mogło być coś ważnego, No!! Więc wtedy zrobiliśmy szybko naradę, taką jak przedtem, jak to robić: więc, pakować, to niema co, już my nic prawie nie mieli, tylko trzeba było na gwaut zdziać...AHAHAHAH!

Myśmy dawno mieli cywilne ubrania.Dawno! Jakiś tylko pierwszy raz pojechali do Budapesztu. I, wobec tego, wszystko co tam było, to trzeba było zostawić. Tylko się wzięło zyletkę, jakiś kopy bielizny, czy co, i....i byliśmy gotowi.

A Ona, z mężem załatwiła tak, że grupa Węgrów, która się wybierała akurat do Budapesztu, znaleźli ich że jadą, przyjaciele ich,my też znali. Słowacy, zresztą, a ci byli czyści Węgry. Zaaranżowali wszystko tak że

było tak że myśmy mieli przyjść na stację, pewnym krokiem i nic się nie oglądać. Przed tym nim się dostawaliśmy do kasy, to każdy z nas, do kieszeni, miał włożony bilet do Budapesztu. [Oni kupili za pieniądze naszego dowództwa, to znaczy, dowództwo im potem zwróciło] [HAHAHA!] jJeden z nas, już nie pamiętam który, chyba Janio, wyskoczył po ciemku, już poleciał do dowództwa i powiedział co się dzieje: że jesteśmy skompromitowani, że musimy uciekać.

Więc tamten nam dał błogosławieństwo i powiedział że on nam przyśle jeszcze do nas. A NIE! że nikogo do nas nie przyśle dlatego że , ewentualnie nasze mieszkanie może być pod obserwacją. Wobec tego, na miejscu, powiedzieliśmy mu to co jest do zrobienia, teraz. że transport taki trzeba przywieść aż tam są gotowe te i te fotografie, które były dane jemu. W ten sposób myśmy byli, jakby wolni!!

Jakżeś my poszli na stację, to tamśmy czuli że się zbliżają do nas parę ludzi i gadają i papierosy palą, i ja poczułem jak mi do palta wkładają bilet. I wtedy poszliśmy na stację. Połączyliśmy tam, koło kasy,śmy się pokręcili trochę, aleśmy do kasy nie szli, naturalnie, bośmy mieli już bilety.

I jak najszybciejśmy z tamąd poszli, bo tam było światła dużo, do takiego ciemno deszczystego wieczoru, Dostaliśmy się do...[czekaj, to nie było wieczór, to był szary świt, rano, ale ciemno jeszcze, nad ranem] i tamśmy widzieli tę grupę którą przedtem nas otoczyła i dała nam do kieszeni bilety, stojąco śpiewając, jak te Węgrzy nieraz sobie tam, jak w grupce staną, to ładnie sobie śpiewają na głosy ślicznie.

Więc, myśmy, wiedząc o co chodzi,, poszli tam, zmieszaliśmy się z tą grupą i bardzo fausiliśmy, i też śpiewaliśmy z nimi. Aż przyszedł pociąg. Wtedy zaczęło się pożegnanie, i oni, grupą dużą dosyć, zaczęły wchodzić do pociągu. Myśmy byli przez nich w drugim wagonem wepchnięci. Znowu druga grupa za nami weszła. Tylko potem się okazało że oni powysiadali w inną stronę. A myśmy pojechali pociągiem. Mieliśmy stracha bardzo poważnego dlatego żeśmy się bali - a nuz przyjdą jakieś rewizje specjalne, może były nasze fotografie czy coś- ale na szczęście nie było, więc znaleźliśmy miejsce i jedziemy. {Mama}" A wy nie mówiliście po węgiersku?" {Tata}"Parę słów tylko, parę słów tylko, tak. Ale wiem że ten jeden z tych naszych przyjaciół to poszedł do wagonu i tam coś do nich mówił, do tych co tam siedzieli. rozumisz? Potem nam powiedział, ' To, wiecie co? Chodźcie do tego drugiego wagonu'. Bo już się tam coś nie podobało, więc myśmy poszli, i nie do przedziału, tylko do wagonu innego. I tam on znalazł, idąc przed nami, kogoś, polecił nas w ich opiece, w razie czego..Tamci, jakżeśmy weszli, to powiedzieli. 'Najlepiej trzymaj tę butelkę wina i śpij, i jak będą tylko bilety sprawdzane, to ci wtedy budzą. Masz bilet, to wszystko w porządku.' Myśmy tak mówili, więc..[Mama]Was było ile?" [Tata}"Trzech. Więc nie siedzieliśmy razem. Tylko pomiędzy nimi. I tamci, niektórzy też udawali że śpią, żeby nam dotrzymać kompanij, wiesz! [Mama]" Bardzo grzeczni ci..." [Tata]" Ach! Słuchaj oprócz tej małej grupie tych hitlerowców, to byli bracia, poprostu"

No, i w ten sposób to szło aż ześmy się dostali do Budapesztu bez żadnych trudności.

Bilety nam sprawdzili, biletyśmy oddali przy wychodzeniu, już tak naulicyśmy byliśmy wiedzieli x razy gdzie trzeba iść, bośmy tam chodzili, przecież, kilka tygodni już, czy miesiąc, czy coś.

No, i tam oni nam się zajęli, wiesz. Wtedy nam dali paszporty, nam dali wszystko co potrzebne..[Mama]" A wy nie mieliście jeszcze waszych paszportów?"[Tata]" Nie można mieć paszportów przy sobie, ani nic innego. My mieliśmy tylko przepustkę wojskową. Rozumisz, paszporty były potrzebne tylko potem, jak oni, zamtąd jechali do Jugosławii, czy do Włoch. [Mama" A riezumiem, wasza kolej jeszcze była przedtem" [Tata}" A nie, pozatym było to że myśmy, akurat, trafili że zaczęli wysyłać artylerję, także że się dobrze składało, bo -nie potrzebowaliśmy długo siedzieć w Budapeszcie. Mnie mianowali dowudcą takiej grupy, która jechała na południe od Budapesztu, do Barczu. Barcz jest przy samej Drawie Otóz, tam był taki obuz. I ponieważ tam był dawno zorganizowany jakiś obuz węgierski, czy coś, więc jak te obozy bardzo były ciasne, to tam, nieraz, wysyłali trochę ludzi.

Kiedyśmy byli na stacji w Budapeszcie, [pamiętam taki okres trochę nerwowy] ,powiedziałem wszystkim tym, żeby trzymali się, żeby wszystkich widział - niech nie siedzą w kupie, ale żeby ja wszystkich widział, i niech się na mnie często patrzą, jak ja daję znak , to żeby oni wiedzieli. O to chodziło, żeby jakiejś awantury nie było, czy coś, i powiedziałem im" Nie wolno wam nic innego mówić, tylko,kazdy z was pokazuje swój bilet, że przyjedziecie do Barczu. I mówcie" Wysłali nas z NogradVeroce.. To my wiemy"

[Mama]"Ale to regularnie mieliście prawo jechać [Tata]" Ale ta ilość zwróciła uwagę. Wobec tego podeszły do nich jakiś ludzie i się pytali -Gdzie jest wasz dowódca?- i do mnie takich trzech, bardzo ładnie ubranych, węgrows, którzy byli z policji węgierskiej, ale nie z tych kogutów, jakieś nazywali, co piura takie nosili, tylko ,zwikła policja,którzy grzecznie się ukłonili. Ja ich odsalutowałem, i idę, a oni pitają się:"Powiedzieli ci ludzie że Pan ich wiezie". Ja powiedziałem "Tak, ja jestem najstarszy z nich i, więc, ja ich wiozę" "A pan ma ich listę?" Ja mówię"Mam ich listę całą". Oni tylko spojrzeli, nie robili żadnych trudności, bo zobaczyli że tak jest. Mówili" I Pan idzie do ?" Ja mówię" Do Barczu, i tam mam się zgłosić do takiego i takiego oficera." Więc, oni powiedzieli " Tak" A potem jeszcze postali, postali, a Ja, przy zdawaniu broni na granicy, na NogrodWeroce, oddałem tylko mój rewolwer służbowy, wojskowy. Wszyszczyśmy musieli. Wyjeżdżając do nowego kraju, nie wolno mieć karabiny czy rewolwery. Ale moje prywatne dwa rewolwery "mazery" Ja miałem, przemocowane do nóg, bandazami takimi, także nawet...[Mama]" nie wydać było?) [Tata]" Ha ha ha ! No, więc Ja się trochę bałem o to, ale , w kazdym razie, skutki jedyne były że w jednym miejscu mi się trochę zraniło w nodze,ale..Otóz, w pewnym momencie, on [ten oficer który ze mną zaczął rozmawiać, ten w policji tez] spojrzął tak

na mnie i mówi: "Ich dlawbe inen" [Ja Panu wierzę] a Ja powiedziałem "Dunkeshun." Bo po węgiersku nie umiałem jeszcze mówić, a oni znali niemiecki. Wtedy zamieniliśmy ukłony i Ja wtedy jeszcze nie uciekałem, nie skakałem, nie robiłem takich, wiesz, fikołajek w powietrzu, jak na telewizji, [Mama się śmieje], tylko sobie tak tego, pokręciłem się, zapaliłem papierosa, z kims pogadałem, i potem przyszedł czas siadania. Więcśmy siedli i dojechaliśmy do Barczu. [Mama] "A tak, przez Węgry dostatecznie łatwo było?" [Tata] "Tak. Ta sama podróż do Barczu to było zupełnie już spokojnie. Już byliśmy zmęczeni [Mama] "Sprawiedliwie robione, tak!" [Tata] "No. I teraz Ja nie wiem czy ty masz jeszcze tam taśmę..." [Mama] "Tak, jeszcze możesz." [Tata] "Otoż, po przyjeździe do Barczu poszedłem tam gdzie mi, nasi Polacy, powiedzieli, w Konsulacie, gdzie mam iść. Od stacji, zaprowadziłem to całe towarzystwo, to było sporo wtedy, nie chcę teraz błagować, ale to było najmniej, chyba, ze szeszdzieściąt [60]. [Mama] "Heeey!! To taka duża grupa!" [Tata] "i oni wszyscy byli już zweryfikowani, rozumiesz, i oni wszyscy byli już ubrani jak cywilni, i my też.

[Mama] "To wszyscy są z Budapesztu?" [Tata] Tak. Więc dowódca tam był taki major, [Dawnorz?] bardzo dzielny człowiek, który był komendantem tego obozu. Jak się potem okaze dlaczego był dzielny, dlatego go tam dali, bo to był trudny obóz. Chodziło o to, żeby przez zieloną granicę, a właściwie przez rzekę, przemycać ludzi, dlatego że już zaczęli aresztować w pociągach tych którzy od paru miesiącach jechali przez północne Włochy. Więc tam Niemcy porobyli także historie ze w Austrii, czy gdzieś tam, ich chwyтали Wobec tego, jego tam dali, żeby on...

Więc on powiedział że, zaraz, tutaj mu jeden z pod-oficerów, zaprowadzi, gdzie panowie mają kwatery i powiedział nam trzem, a to całe towarzystwo szeregowych, to będą zakwaterowani teraz. Żeby być spokojni, wezmie się od nich nazwiska, wszystko. Więc teraz jesteście zmęczeni już teraz was zwalniam. Już was oni nic nie obchodzą. Więc Ja ich pożegnałem wszystkich. Oni mnie podziękowali i jeden powiedział "Baliśmy się dla Pana Porucznika, jak te policjanty tak przyszły... Dobrze że Pan Porucznik tak, trochę po. niemiecku mówi. [Mama] "No, trochę pomagał, przynajmniej trochę się umówić" [Tata] "Tak. Więc.. Pewno że nie mogłem krzyknąć 'Vive la France' [się śmieje lekko], Więc, wobec tego, poszliśmy do naszej kwatery, i widzieliśmy gdzie była, dosyć paszkudna kwatera. Wiesz, bo to było takie małe, opuszczone miasteczko, taka osada, właściwie, i w jakieś takie starej szkole, czy coś, było tak że myśmy mieli tak: że dwóch spało w jednym pokoju, a jeden spał z innymi obcymi ludźmi, których dopiero poznał, w drugim pokoju.

Ale to wszystko nic. Tylko potem się zaczęły opowiadania jak tu idzie, jak tu wygląda.. Bo my wiedzieliśmy że my tam jedziemy żeby być przetrzuceni... Więc zaczęli nam opowiadać wtedy, tak szczegółowo, bez skrepowania się, i była taka historia że oni powiedzieli że są bardzo nie przyjemni. Jest to że granicę, jako batalion straży granicznej, od kilka tygodni objęli te stanowiska Albanczy, którzy się zgłosili, bo, jak była

inwazja włoska na Albanie, to oni uciekli. Oni się zgłosili tam, w Jugosławji, że oni chcą tam służyć. Wtedy ich przyjęto, bo byli uzbrojeni, rozumiesz wszystko, jakim cudem oni się tam dostali, to już teraz mnie nie pytaj, bo Ja nie wiem.

W każdym razie, tak mi mówili ci koledzy którychśmy na nowo spotkali. I oni im dali - przy tym, „bo, jeżeli ktoś wie, jaka to jest przykra rzecz dla ludzi, którzy chcą przejść granicę, gdzie stoj straż graniczna mówiąca tylko po Albansku! To ci tylko powiem, że Ja nie znałem w życiu ani jednego człowieka, a znałem ludzi którzy znali różne języki, który by powiedział że zna dobrze Albanski..!!

Straśliwie trudny język. Trochę włoskiego, trochę słowiańskiego, trochę arabskiego...no, wiesz..lich wie co!

Więc. to jest bardzo trudny język, nie wiem, może bardzo ładny, Ja nie wiem, dla nich. Ale dla człowieka, który nie zna go, to jest zupełnie coś do nie pokonania.

Więc dlatego się bali tego, że, w razie czego, to, jeżeli jest jakieś spotkanie ze strażą graniczną, to nie można wiedzieć o co chodzi, więc należało unikać tego spotkania. Ale, gdyby było, wiesz...I że są bardzo służbiści, że tam nikomu, tu, blisko Barczu, nie udało, przez dłuższy czas, przejść rzeki, bo oni bardzo pilnują, jak psy. I mają psy, zresztą, oprócz tego, na tych swoich takich punkt

No, więc, opowiadali nam że jest taki most, koło Barczu, który prowadzi. gdzie, z obu stron, są posterunki, i że tam się, czasem, przechodzą ludzie, za przepustkami, nie żadnymi wojskowymi, ale prosto cywilne, dla wymiany handlowe, odwiedzania krewnych, to zawsze, wiesz.

Z obu stron rzeki byli ludzie którzy byli węgry czy jugosławiami. No, tak było wszystko dobrze, aż, wreszcie dostaliśmy zawiadomienie od tego naszego Komandanta Rotmistra, że my musimy iść, że teraz jest pora na nas, bo sporo szeregowych poszło, i teraz trzeba trochę oficerów posłać, bo Paryż się ich domaga. Oni mieli trochę ochotników szeregowców z Francji, którzy się ogłaszali, i z innych stron, a oficerów im zaczęło brakować. Więc zapytaliśmy o szczegóły i powiedzieli że proszą iść do rotmistra Doktora, on tłumaczy.

On powiedział jaka to sytuacja. Potwierdził to, że to bardzo trudne przejście. Jeszcze parę tygodni temu po 15 ludzi, na wieczór wysyłał, a teraz wysyła jedno, dwóch, bo tamci tak pilnują. Powiedział że, zasadniczo przewiduje że, ponieważ oni nie spodziewają się tego, bo mają psy i mają reflektory, i most jest trochę oświetlony, żeby przejść przy samym moście.. No więc, popatrzyliśmy trochę jeden na drugiego, ponieważ wszyscyśmy byli trochę w nastroju awanturniczym, powiedzieli: "Dobrze jest. Będzie ciekawe" [Tata trochę się śmieje.]

No, i przyszedł ten dzień. [Ha ha] zablagałem że na stacji miałem dwa rewolwery. Jeden rewolwer sprzedałem żeby mieć trochę pieniędzy w Budapeszcie, jednemu z tych znajomych węgry. Więc miałem tylko jeden, ale był wtedy tak bardzo bandazowany przez Frederyka, że go miałem ze

sobą az Ty z niego strzelałaś we Włoszech.[Mama] "Ha,ha, to był ten co ledwo mnie zabił.ha,ha]

No, więc przyszedł ten wieczór. Byliśmy trochę podnieceni tym. On powiedział żeby się nie najadać, ale żebyś wzięli coś, trochę pożywny, co tam było. Juz nie pamiętam czy to był trochę czekłady, czy cukierki, czy coś. i powiedzieli żeby nie iść do dowódca, ale żeby wyjść z kwatery i iść, wszyscy trzech, tak sobie,normalnym krokiem, rozmawiając, tak sobie, jak żołnierze, łazyli po miasteczku. W jednym momencie, przy furtce od jednego domu, po prawie stronie ulicy, domu który był odwrócony tyłem do rzeki, będzie stał jegomość, który na nas kiwa.

Więc, tak się wszystko złożyło. On nam pokazał głową zebyśmy weszli. On powiedział kto jest, bo jeszcze polak tez, i zaprowadził nas koło tego domu, nadół do rzeki, az my weszli w krzaki.

Wtedy powiedział ze chce nam pokazać sytuację jaka jest. Sytuacja była taka: " W prawie strony Was,ten oświetlony jest most. Teraz, z lewej strony mostu, stoj, jak widzicie, budka taka, to mała, jak straznica budka, i pali się mała lampka tylko, ale na samym moscie jest reflektor. Od czasu do czasu ktoś z tej straznicznej budki,idzie w tył z tej budki, na most i stamtąd oświetla całą rzekę.

Oświetla, oświetla, gasi. Potem powtarza. Czasem nie powtarza, wraca. Oni się zachowują swobodnie, jednak nie wydać żeby oni śpali. Ze ktoś tam śpi, ale nie wiadomo, moze na zmiany. Mają psa. Mieli dwa psy, ale teraz mają jednego, co się właśnie Rotmistrza skłoniło, żeby próbować teraz, ty wiesz!. Ten pies roby wrażenie ze sobie poszczekuje, wiesz, raczej z obowiązku, moze tam mu mówią..., więc szczeka. Wychodzi z tej kabini, trymany na snurze i szczeka. Ale nic nie jest groznego dopóki on by nie zobaczył czy nie poczuł coś.

Po nas ma tam podjechać łudka, mniej więcej za pół godziny czy godzinę. W tej łódce będzie siedział jeden człowiek, bardzo dobrym wiosłarzem i silny, o tyle ze da radę bardzo dobrze was wszystkich trzech, więc nie proponujcie mu ze będziecie wiosłować. Będziecie tak jakby byliście ładunek, więc nie siedcie, tylko połuszcie się. Tak ze, jezeli Oni patrzą, to widzą jak jegomość jedzie sobie łódką, pojedynczy człowiek. Tak ma być. On tam podwierze w takim miejscu, gdzie, zasadniczo, jest trochę zasłonięte od mostu. Ale, jezeli któremu z nich by przyszło na myśl zeiść z budki nad samą wodę, to was wtedy zobaczy. O to chodzi ze on będzie pilnował. On jest wprawny i on będzie wydział co. Pewno najpierw będzie tam wielki ruch jakiś, i zaraz po tym ruchu on was przywierze. bo jest mała szansa, wtedy, ze znowu który wyjdzie, wiesz. Takze psa, nieraz, zabierają ze sobą do środka, bo ich złości jak szczeka.

I tak było wszystko, jak było pracowane. Więc myśmy się pozegnali i siedli do tej łódki, bo on juz przyjechał do nas. Nic muśmy nie mówili, bo wszystko było po cichu. Wiedzieliśmy co, i nie było zadnich tródnosci. Więc.jeden poszedł pierwszy, położył dziobie w łozi, drugi za nim, trzeci, za nim, i ten zaczął wiosłować.

Wiosłował świetnie. Jak motor się jechało, więc, bardzo szybko nas przywiósł na drugą stronę, i kiedy my biliśmy na drugiej stronie, wyskociliśmy, powiedzieliśmy do niego, cicho, dziękuję, i on sobie pojechał dalej, wcale spowrotem, tylko wzdłuż rzeki, tak, wiesz. Myśmy przycychnęli tam chwileczkę, „na miejscu, żeby nabrać oddechu, bo, wiesz, to wszystko trochę nerwowe, bo tak, człowiek krótko oddychał tam, w tej łodzi. I, w pewnym momencie, zobaczyliśmy ze się dzwi otwierają, bo światło. Wyszedł jeden, za nim wyszedł pies. [Mama] " To na moście było? [Tata] To było przy moście. Jak oni wyszli z tym psem, oni byli wyżej od nas. Więc myśmy upadli jak placki na ziemię.

On powstał trochę, mówił pod głosem, bo ja wiem, może sisi robił... On się tam pokręcił, pokręcił, do psa mówił [a pies robił sisi, jeszcze pamiętam jak te tylne łapy sobie wycierał, jak to psy] i poszedł, widocznie bo ten deszcz mu się nie podobał, bo był bardzo zimny [to był dobrze dla nas.] Tamten człowiek załatwiał swoje i zbliżył się za tym psem i otworzył dzwi. Wydocznie stamtąd powiedzieli coś. On odpowiedział "Dobrze." [taki potwierdzający krzyk był]. To byli Albanczyki, ja nie rozumiem, i wylarż na górę, gdzie ten domek stał tu, i stamtąd uruchomił reflektor. I pocił reflektor, najpierw, na szczęście, na lewo. My wtedy mieliśmy czas jeszcze troszeczkę popętać jeszcze bardziej brzeg przy kwastów. Byliśmy tak ubrani, deszcz padał, to nic nie było jasnego. I potem ten reflektor poszedł po moście, i spacerował wzdłuż rzeki. Jak dochodził do nas, wydocznie on zobaczył że no, to już wszystko w porządku, nie pojechał nawet po nas, tylko po rzece akurat, i potem z spowrotem wrócił. Więcśmy poczekali jak stamtąd zejdzie. Wydocznie był zły, bo słyszeliśmy że mówi [takby Janek, który jest zawsze wesoły, by powiedział: "Ah! Cholera taka służba," coś takiego. I wtedy myśmy wyskoczyli z tamtąd, bo wiedzieliśmy co mamy robić: leczyć, jak można, najszybciej, żeby uważać żeby nie robić ałasu przewracając się, bo tam nie był żadnych drutów, bo to sprawdzone. Nie puścili tam wywjady. uważając tylko że, bardzo szybko, po takim terenie, takiej, trochę szarej trawie, takiego pastwiska, wyjdziemy na pole zaorane, ciemnej ciężkiej ziemi tamtejszej, na której rosła kukurydza. masami. [słoма kukurydzy zostawiona, nie wszędzie, ale w pierwszym kawałku.] Była, może kukurydza na sprzedaz, na jedzenie, bo grudzien. I, mówi, to jest dobrze, bo jak tam idziecie, to macie trochę oddechu. Tylko nie róbcie jakby stado bawołów szło, bo, jakby który wyjdzie, i słyszy tam wariaci jakie... Idźcie tak, jak możliwie, wzdłuż rzędków kukurydzy, jak dostaniecie się tam, potem uważacie, bo jak się kończy kukurydza to jest głęboki rów, wypełniony wodą z powodu deszczu, i potem jest zaorane pole, i tam wam nogi wleczą do pół kostek, albo wyżej. Więc uważajcie. Sznurowadła poprawić, bośmy nie mieli butów porządnych, mieliśmy półbuciki, co nazywaliśmy 'Konsulackie półbuciki' I tak idźcie naprzód, jak najdalej, Dopiero po jakimś czasie, powiedzmy sobie 20 minut marszu, możecie się zbliznąć trochę do drogi. Drogię będziecie widzieli, bo od czasu do czasu, „czasem, jakiś samochód przejeżdża, bardzo rzadko tam w nocy.

Pozatym możecie, czasem, zauważyć światło jakiś. Unikajcie światła Oriętuje was to, czy jesteście bliżej czy dalej od drogi.

Dlaczego to było skierowanie do drogi? Ze potem..po naszej stronie, tej gdzie my śli, czyli w lewo od tej drogi idącej z Węgier przez most do Zagrzebia, były różne osiedla. Śmy nie chcieli wejść do osiedla i zobaczyć tam żołnierze, czy jakiś patrol, My chcieliśmy iść , możliwie, pustkami, ale nie chcieliśmy oddalić się od razu na drugą stronę drogi, bośmy się bali ze na drodze możemy być wzięti przez jakiś jadący samochód.

Jednym słowem,wielkim sobie napięciem ta cała rzecz. Jeden tylko z nas, Zdziś, jak skakał przez jeden z tych wielkich rowów, to wpadł, biedny, do pasa. Myśmy go wyciągnęli, więc zimno mu było, biedakowy.

I wreszcie zobaczyliśmy, z daleka, po naszej stronie,światło. Zobaczyliśmy ze to jakieś osiedle, farma, czy co. Więc postanowiliśmy przejść, jednak, po prawej strony,ze, jak nam mówiono, niema, zasadniczo, domów. Więc śmy doszli do drogi. Lezeliśmy w tym rowie przy drodze, i oglądaliśmy czy ktoś tam przyjechał, raz, drugi raz..nikt nie szedł [była noc]. I nareście przeskoczyliśmy, jeden za drugim przez drogę i do rowu..

Ślismy tamtędy, po prawie strony drogi. Doszliśmy naprzeciwko tego osiedla co wydzieliliśmy. Wszystko wydawało ze jest świetnje. Kiedyśmy się zbliżyli i robyliśmy taky wywiad, po nad drogę, co tam się dzieje,tośmy zobacili ze stoją trzy konie przywiązane do takiego draęu, i ze się świeci i słycać muzykę w środku tej, jakby oberza mała.Tam, pewno, mozna było jeść, coś pić, ogrzać się. To i tych trzech żołnierze, jak potem się okazało, poszli tam się popić, się grzać. Pewnej chwyli myśmy się nie ruszali, bo się bali, aleśmy rozmawiali cicho, szeptem tam, jak zrobić. Iść w dłuż rowie byłoby dobrze, gdybyśmy dobrze wiedzieli czy potem, to co teraz było nisko, nie podwizsza się. Bo nie chcieliśmy wyjść wysoko jak ztamtąd ktoś wyjdzie.

Więc postanowiliśmy ze zrobimy pojedynczo. Jeden poszedł, zrobił wywiad. Jak zobaczył ze jest ciągle takje duze zagłębienie, tośmy poszli wszyczcy trzech,. Jak ze byśmy byli akurat naprzeciwsko tego domku, usłyszeliśmy muzykę głośniej, czyli ze dzwi były otwarte i ze przed domem wyszedł jeden żołnierz, a, potem, coś gadał, gadał, i przyszło jeszcze dwóch.Ciągnęli poprzęgy[wszystkiśmy wydzieli dokładnie], siedli na te konie i ruszyli w naszym kierunku, do drogi. Ale myśmy, na szczęście, będąc tam długo, śmy załwazyli ze tam są takje rzeczy gdzie jest przepływ wody pod drogą, na szczęście, ze strony Barczu do mostu. Moze oni sobie tam mieli bywać.

Więc, wyobrazasz sobie, z jaką szybkością myśmy szli ztamtąd.

Chodziło o to zeby wiedzieliśmy o której godzinie odchodzi pociąg z NogrodVeroce do Zagrzebia. Chodziło o to,: zeby zdążyć, piechotą, po torze kolejowymśmy mieli iść.

Więc, jednym słowem, doszliśmy, na szczęście, bez zadnych przygód, do toru. Wysoko było, nad drogą,bo był taky wjadukt, i tam mieliśmy skręczyć w lewo i tą drogą, która była po obu stronach dosyć zalesiona [nie las, ale tu krzaki, tu drzewa, tu coś], iść jak najszybciej az

do takiego dróżnika[dróżnyk jest taki człowiek , który sprawdza tory kolejowe]. On tam mieszkał, on miał swoją chatkę, do niego, żeby móc, w razie czego, dowiedzieć się...

On był poprzednio już uprzedzony. Jak nas zobaczył, on już wiedział. Mówił po swoim języku jugosłowiański, ale było można się dogadać. Więc, choć bardzo wolniśmy śli na torze, powiedzieliśmy sobie, jdzmy na tor kolejowy. To było ryzyko, ale można było lecieć kłusem. Biedny Zdziś, który smarzał, ale tym grzał się.

[Mama:" Czy to już nad ranem? Jak było z czasem?"] [Tata]" Jeszcze było czarno . Pamiętaj ze się roby dopiero koło 8 ej godzinie jasno w grudniu. Więc my po tym torze, po te wkładkach, pędzili jak zwariowani, trzymając się tam gdzie było jakie puste miejsce, przejazdy drogi pod torem, no tam trzeba było uważać gdzie się nogi stawia. Dostaliśmy się na drugą stronę dosyć szybko. Wreszcie zobaczyliśmy światła. Była stacja.

Kiedyśmy dochodzili do stacji, zaczęło się robyć szarawo. Zobaczyliśmy jak wyglądamy...Wyglądaliśmy, wiesz, jak obraz nędzy, poniewierki cały.

Brudni, no, w niesłuchanym sposobem, zalani błotem. i ten, specjalnie, co wpadł do rowu, ale inni też, bo też zapadaliśmy nogami.

I weszliśmy na twardszą drogę. Trochę z prawej stronje była taka kałuża duża. Więc, poszliśmy na tę kałużę. Janio powiedział: Róbmymy jak konie się toczą w kupie siana. Siana nie było, ale na torze, taka sucha trawa zmarznięta. Weszliśmy wszyscy, wiesz, nogami do tej wody, i tamśmy się myli, wiesz, tak to, całe spodnie były myte na czarno. I wtedy błasnowaliśmy już trochę, wiesz, to taka tensja nerwowa, bo, bądź co bądź, nie wiem ile razy mogliśmy być złapani..

Więc, wszystko to razem się nam udało, tak że, jak małe chłopaki śmy się rozbawili, jeden drugiego coś mówił, się zmiał. Mówiliśmy ze Zdziś powinien brać udział w konkursach hyppycznych, bo tak świetnie przez rów skacze, i tak dalej, i dowczypi, i w rezultacie śmy doszli do stacji.

Jak doszliśmy do stacji, to nam mówiono" nie idźcie kupować biletów.

Tylko kasa jest blisko peronu, i tam już jest furka, tam może stać ktoś co kontroluje. Wy, tak jak zwyczajny ludzie, którzy idą się napić herbatę, idźcie do takiej małej knajpy, która jest od kilkadziesiąt kroków od toru, z lewej stronie. Zobaczycie bo świeci się, i ciągle jakiś wchodzi, wychodzi. Idźcie tam. Tam ktoś do was podejdzie, da wam miejsce.

[Mama}"Kto wam to mówił?"] [Tata]" To Rotmistrz z Barczu. On tam wszystko przygotował: ile czasu tam się idzie, wszystkie drogie. On wszystko sam zrobił i wrócił. Tak ześmy szlyszmy na pewniaka. I, rzeczywiście, przyszedł do nas taki słowianin, i powiedział nam, takim złamanym polskim, "Pewno herbaty?" i potem dodał" i bilety do Zagrzebia?" kiwnął głową i potem dał nam herbatę i przyniósł nam, pami tam, taki chleb z serem, bardzo dobrym. Kazdy z nas jadł. Zrestą mieliśmy z sobą denary jugosławskich. Ten Dowbar[?] dał nam denary do zamieniania. I powiedział w tym sposób, " Wszystko jest dobrze, ale ja wyjdę przedtem, żebyście szli, więc wy będziecie siedzieć tu, przy okienku, patrzeć na mnie. Jak ja się zwrócę i zapalę papierosa, to znaczy ze NIE.

Jezeli ja się owrócę i nie będę zapalał papierosa, to mozece iść. Idzcie furtką i zaraz skręcajcie na prawo. Ja, pewno, juz tam, jak skręcać dojdziecie, nie będę, ale podejść o jekiejś pewnej sprawie, rozmawiać z zandarmem. Będzie stał, prawdopodobnie, na lewo.

To było tak wszystko ułożone, że się zgodziło aż do jednej sekundy.

Więc my poszli w prawo, wzdłuż toru, i weszliśmy do wagonu, pewnego ludzi, którzy, jak się okazało, wracali z robót. W górach ścinałi drzewo. Zmęczeni strasznie. Okropnie brzydko pachnący, brudni, mokri w kozukach takich. Więc, jednym słowem, się dopasowaliśmy świetnie do tego towarzystwa, że to co oni palili był coś niesłuchanego. Gdybym był mołem, albo komarem, to bym umarł na miejscu.

Byliśmy tak zmęczeni że, wyobraz sobie, żeśmy sasn li w tym gwarze, w tym śmiechu, w tym wszystkim.

Potem się obudziliśmy i dojeżdżaliśmy, był piękny ranek, do Zagrzebia.

Powiedzieliśmy " Jakie to adne! Jak ludzie idą do miasta, kobiety niosą na gł owach, jak w Polsce, koszyki z jakimś wazywamy.., nie wazywamy, tylko z mlekiem. Wazywa w zimie nie niosą, ale nieśli banki z mlekiem i jakieś koszyki z innemi rzeczami, może jajka, czy coś. To wszystko s zło w stronę Zagrzebia..

Myśmy myjęli ich, i tak dojechali do Zagrzebia. Tośmy wiedzieli wszystko co mamy robic Nic się tam nie zastanawiac

Jak będziemy wychodzic, to tam nam zabieraj bilety, wtedy wyjść, jak wszystkie ludzie wychodzą, skręczyc wprawo, iść rotuarem aż do ulicy, którą się nazywa ..tak i tak..Ztamąd skręcić znowu, w prawo, potem w lewo, aż się dostaniemy do Konsulatu Polskiego w Zagrzebie.

Ale jeszcze taka ma ła zmianka. Jakiśmy wyšli tylko z tej stacji kolejowej i skręczyliśmy tam, jak nam mówili, na ulicę, to tam sta ł ch łopak, ciściciel butów, ze swojm pu dłem , takim, na pasku, i poszed ł do nas. Bardzo ła dnie się uklonił i powiedział tak: " Panowie oficerowie chcą ciścic buty?

(Mama) " Ha,ha, po polsku "

(Tatuś) " Łamanym polskim, tak. Więc nas roścuził. jak cośmy mieli w denarów, to juzśmy dali, biedaku. Myśmy mu się pytali: " Jak ty oczyścisz te buty? " A on : " No tak. No zawsze będą czarne. Nie będą się b uiszczaly, ale będą czarne. ! " "

Zeczywiście je robił na czarno!

Więc to by o nasz przyjazd tam, do tych, i potem z Zagrzebia, cała nasza podróż do...hoi! Szplitu, pociągiem. Ciekawa jazda, krajobrazowa, i potem Szplit, tam, czarujący! Te góry i te morze, o tak przedziwnym kolorze! To było bardzo ciekawe ale ja , teraz, się bardzo zmęczyłem...

Po przyjeździe do Szplitu, pošliśmy zameldowac się Pułk. Taifman, komendantem tej bazj do któtej przyjeżdżali zoł nierze z różnych stroju i którzy on , okrętami wysyłał do Francji.

Więc on, ze swojemy pomocnikami oficerów , powiedział że zaprowadzeni będziemy na nasze miejsce zakwaterunku, gdzie będziemy musieli

przenocowac bo okręt w którym my mamy wyjechać jeszcze nie przyszedł. Ale może, nawet dzisiaj, w nocy, przyjdzie... W każdym razie, ładą dzień. Wtedy będziemy wysłani. Witumaczył jakie są stosunki z ludnością. Ze grzeczni są. Nie narzucają się. Może nie byli tak kordialni jak Węgrzy, ale nie będą żadne trudności. Tylko nie zbliżać się bardzo do jugosłowianek, które bardzo ładne tam są dlatego że młodzi chłopcy tam, ze Splitu, są bardzo zazdrozni.

To służnie powiedział bo, mówi, że nie chciał awantur. Jakiś towarzystwo przyjdzie do was i chce rozmawiać to dobrze, ale nie szukajcie znajomości. No! I gdzie mamy pójść to wszystko było wytłumaczone, i udaliśmy się tam, na to miejsce, prowadzeni przez jednego przewodnika, jakiego oficera, i potem wysłaliśmy trochę. Po kolację poszliśmy trochę pochodzić po tym bardzo pięknym miasteczku portowym, położonym na ostrym stoku, który spadało do morza.

Juz trudno być nad morzem, bo się robił zmierzch i na drugi dzień rano, pierwsze rzeczy, poszliśmy tam oglądać morze. Mała zatoka, bardzo głębokie małe fiordy, wznające się w brzeg, niesłuchanym kolorem wody. Ona była prawie zupełnie, koloru zielonego...niebiesko-zielonego, ale więcej zielony niż niebieskawy.

(Mama) "To Adriatyk!" (Tata) "Tak, tak, to było Adriatyk! I tamśmy wydzielili, jak na zakończenie połowu nocnego, kiedy rybacy wyrzucyli na skały zawartość siatek...I, ponieważ byli głodni, tam na skały zrobili małe ognisko i zmarzyli ryby, tak i jak! Bardzo było zabawne.

Potem, po odbyciu takiego spaceru dłuższego, wracałem do kwatery, tam, i na schodach, nagle, słyszałem głos "O! Pewno to jest Stanisław Pleszczyński" Więc się obejrzałem i zobaczyłem jak z dołu w górę szło dwóch oficerów. Z jednego, chyba, poznałem najmłodszego z rodziny Fudakowskich, który już poznałem w Lublinie, bo oni, przeważnie wszyscy, studiowali w tym samym Gimnazjum-Liceum szkolej Lubelskiej, co i ja.

Więc, się bardzo ucieszyłem, że kogoś znajomego wydę. A potem on mnie przedstawił młodemu, wysokiemu oficerowi, który był Major dyplomowany Emil Sikorski.

Tak się złożyło żeśmy się wtedy poznali. Potem On został moim dowódcem. A potem byłem przy jego śmierci w Libii.

Na drugi dzień dowiedzieliśmy się że okręt przyszedł w nocy i że teraz tam małe robią takie oglądzi, poprawki, i że, prawdopodobnie, w następnym dniu my wyjedziemy. Zapytaliśmy czy można przejść po mołu i zobaczyć. Powiedzieli "Tak", ale żeby nie próbować wchodzić na okręt, bo kapitan sobie zastrzegł że, jak będzie ładowanie, to ładowanie, ale żadnego chodzenia po okręcie przedtem. Wiesz! On włożył żołnierze dłuższy czas, prawdopodobnie niektórzy się zachowywali nie odpowiednio.

Więc poszliśmy na to moło i patrzyliśmy.

Ja nie chciałem wierzyć że to, to!

Przy moło, tym do ładowania, był przymocowany okręt wielkości, ah!, taki, prawie, jak jeździł po Wiśle, w Warszawie, nie wielki.

Był ATTIKA!

Ale jeden ze swoich kolegów, stał w tył, tak, głową trochę kręcił więc ja się zapytałem : " Co tam załwazyłeś. Co takiego?" " Bo ta Attika stoj tak jakby była trochę krzywa!"

Ja wróciłem,spojrzałem ze, rzeczywiście ten okręt był pochylony bardzo na prawą stronę. Ale mocno! Było widac wyraznie, ze tak stoj. Pomyślałem sobie- moze to ze ładowany, czy co. Ja nie orientowa łem się. Potem, jakeśmy wrócili, to powiedzieliśmy Tajfanowi, a on "Ale nie, nie przewróci się. Ona tak trochę krzywa, czy nie krzywa, ale parę razy jezdziła i to było dobrze."

Więc ztamtąd wyjechaliśmy, jak było mówione, następnego dnia. Załadowaliśmy się.bardzo piękną pogodę. Odjazd śliczny bo wydac było w promienia słońca ten śliczny Split, i te góry za nim i bardzo piękny wydok, no, i sam morze. Pierwszy raz byłem na Adriatickim morze i tam mi zrobiło bardzo silne wrażenie. No. Jak to zwikle, na takim okręcie transportowym, po wydaniu rozkazu co i gdzie jest, ritm dnia i t.d., gdzie są pasy ratunkowe. Powiedzieli nam ze mozemy sobie trochę obejzyc, chodzic po okręcie i t.d.

Więc nie będę opisiwał wszystkie szczegóły, bo wszystkie okręty, mniej węcuj są podobne. Jednym słowem wspomnę tylko o jednym : ze, pomiędzy jedną częścią mieszkań (kajut) i drugą która była, jakby do niej plecami zwrócona, na dole, po schodach, się schodziło do duzej sali jadalnej. (Wspominam te schodki, bo, potem, dalej do nich wróczę.) Drugimi schodkami się wchodziło do korytarzu, który szedł wsdluz kajut po lewej strony.

Bardzo szybko, po wyjeździe, moze dwa czy trzy godziny, mieliśmy pierwszą burzę, która nie była jeszcze bardzo mocna, ale ludzi wrazliwy juz zaczęli cierpic Okręt był niewielki i, rzeczywiście nim rzucało.

Nieprzyjemną rzeczą było, żeśmy zauwazili ze ta pochyłość tej Attiki, powoduje ze, jezeli fale ją byją w przeciwnej stronie niz ona była pochylona, ona się tak mocno pochiliła się, ze wyglądała ze się położy. Z drugiej strony, to nie było nic złego, bo wyglądała ze się wyprostuje. (Tatuś tu się trochę śmieje.)

No, ludzie sobie trochę powykpivali z tego, ale, niestety, sporo ludzi chorowało

Między innemi chorowały dwóch mnich świezo spotkani znajomi:

Fudakowski i Major Sikorski, bardzo mocno.

Burza się uspokoiła. Objechaliśmy półwysek apenjinjski w południa i wprostowaliśmy w kierunku na północną Marsilię.

Tam byliśmy zatrzymani przez światła mi konterpedowca włoskiego, który, potem, przez radio, porozumiewał się z naszym okrętem, kto on, gdzie idzie i t d.

Pokazywano nam, bardzo daleko w lewo, gdzieś tam ten cypel omijali (Calabrii), wydzieliliśmy, bardzo daleko, jak mały punkcik latarniamorską

Wy tłumacili nam, marynarze, że to jest na północnej Africe. Jest tak szalenie silna latarnia morska, która jest na małej wysepce. Przed ciebie, jak spojrzysz na mapie ci pokazę gdzie.

(Mama) "Bardzo nizej od Sicilij?"

(Tatus) Tak, tak." Tam mocno objechaliśmy. Więc, niestety przyszła druga burza, trochę silniejsza od tamtej. Już w czasie tej drugiej burzy sdażyło się to że moi dwaj koledzy, ci chorujący na chorobę morską prosili o pomoc lekarską

Powiedzieli, wprost, pójdź tam do lekarza. Podobno jest taki sirop, taki napój, który trochę łagodzi. Bo oni strasznie wymiotowali.

Więc ja poszedłem. Idąc szedłem do tej sali jadalnej, mocno się trzymając, bo widziałem że w tej sali jadalnej, gdzie kszesła i stoły były wymocowane, ale różne rzeczy inne, tam, podróżowały tam i zpowrotem. Złazłem i szedłem do lekarza. On mi dał dwie filizanki małe, z dużymi uszami, w których był taki zielony płyn wlany. Powiedział żeby oni to wypili powoli, i to wszystko powynno przejść.

Więc ja wtedy zszedłem znowu nadół, ale, mając te dwie filizanki, trzeba było je trzymać jedną ręką, a drugą ręką trzymać się mocno, bo jak ona się pochylała ja miałem głowę prawie nizej od moich kolan.

No, i tak doszedłem nadół Zaniósłem im lekarstwo i bardzo dobrze to zrobiło.

Ale ta burza się rozwinęła w coś bardzo już niebezpiecznego po jakim czasie, Do tego stopnia że zaczęliśmy mieć trudności, wogóle, się poruszać. Dlatego że ludzie idący po korytarzu, byli rzucający po różnych kabinach, jak ona się tak kładła. Kiedy ja szedłem drugi raz, wieczorem, po drugą dawkę tego lekarstwa, to, stojąc naprzeciwko kabiny tych dwóch jęczących moich przyjaciół zostałem, nagle, wbrew woli, tyłem, po ślińskiej posadce, wrzucony do ubijakacji, która tam była, i tak mocno, że pojechałem na sam koniec i usiadłem w pełnej miednicy tej umywalny.

Wyobrazcie sobie jak to było mi przyjemnie, ale nie pójść tych lekarstw. Poczekaj jak się ona trochę wyprostuje i tak mokry, powróciłem, zpowrotem, z nosem naprzód, znowu, tam i dałem im to lekarstwo.

Oni mi podziękowali, że ja wogóle przyszedłem.

Mieliśmy, potem, jeszcze raz, trzecią burzę, przed samym dojściem do Marsilji, i po tej burzy, kiedyśmy wylądowali, kapitan okrętu, zegnał się z nami, przy wyjściu, powiedział nam :Bardzo się cieszę że mi się udało was dowieść cali, bo, przyznam się że ta była, chyba, jedna z najgorszych burzy jak ja przyszedłem!

Tak że wyobrazcie sobie co tam się działo, jak to rzucało.

(Mama) Czy ta Attika jeszcze długo ona...(Tatus) Jeszcze ona długo jeździła, aż, jak my byli na Bliskim Schodzie, myśmy się dowiedzieli że, biedna, zatoneła. Nie pamiętam czy ona była zatopiona. Nie, chyba nie.

Pro prostu zatoneła.

(Mama) Czy ty wiesz czy tam byli jakiś z was, z Polski, że utonęli?

(Tatuś) Tego nie wiem, ale, chyba, wtedy już z naszych prawie nikogo, już nie jechał. Ona zatonała, ale nie mieliśmy dokładne informacje. Ci co ją znali mówili -Biedna, stara Attika.-

(Mama) Jaki czas był jak się dostaliście do Marsylii?

(Tatuś) Oh! To już po połowie grudnia. Nie daleko Borzega Narodzenia. I tamśmy wyładowali na porcie. Tam stały duże ciężarówki wojskowe, które nas zawiosły, w bardzo krętych drogach, kilkanaście kilometrów w górę, gdzie był obóz nazywany - Camp des Karpiens -, który jak się potem okazało, był pobudowany w czasie pierwszej wojny, jako obóz dla jeńców niemieckich.

I tam to już jest cała inna historia. (O Bożym Narodzeniu i o tym śpiewaniu, już opowiadałem) Teraz chcę tylko powiedzieć Było to bardzo przygnębiające wrażenie polityczne. tam, dlatego że, chociaż, jak się tam okazywało, kazali nam się ustalić porządnie, nie tak tłumem, i nam wywołali wartę pod broni, warta francuska obozu nam prezentowała broni. Ale potem myśmy się czuli tacy nie lubieni, nie proszeni! Atmosfera była raczej chłodna tam!

(Mama) Tak że, jako konkluzja tej całej awantury, to było dosyć przykro!

(Tatuś) Tak. I deszczysty dzień. Sale tych koszar także ponure, zymno straszliwe. Kazali nam drzewo sami zbierać do żelaznych piecyków.

Chodziliśmy po tych gór i zbierali mokre różne krzaczki,.

Potem nam robili bardzo ciekawe oglądziny policyjne. Każdy z nas przechodził szczegółowe badania, nie tylko palców stóp, ale i czaski. Robili także kranjologiczne określenia, jakie my mamy rysunek czaski. Byłoby to zabawne, a fotografie z tego, chyba gdzieś mam. Wyglądam, rzeczywiście, z numerem nad głową, jakbym był kryminalistą.

(Mama) Bardzo to przykro!.